

# NIEMIECKI SPRAWIEDLIWY I POWSTANIE WARSZAWSKIE

**Moc Ducha Świętego sprawić może, że człowiek potrafi przejść me-tanoia, to znaczy nawrócić się. Tak bywało u świętych, którzy czasami byli wielkimi grzesznikami, a potem głosili Ewangelię. To porównanie można odnieść do postaci Wilma Hosenfelda, który zgrzeszył, wstępując w szeregi NSDAP (partii nazistowskiej). Będąc oficerem Wehrmachtu, rozumiał zbrodniczość systemu hitlerowskiego i w okupowanej Polsce, przede wszystkim w Warszawie, stał się ratownikiem ludzi – Polaków i Żydów, między innymi Władysława Szpilmana.**

Kim był Wilhelm Hosenfeld? Urodził się w 1895 r. w okolicach Fuldy, w praktykującej rodzinie katolickiej. Został nauczycielem. Jako żołnierz w I wojnie światowej był ranny. Potem zaimponowała mu partia nazistowska, do której wstąpił w 1935 r. Niedługo potem partia odbiera mu jednak koncesję nauczyciela, gdyż jest „niepewny” – krytykuje politykę nazistów wobec Kościoła. Już w 1938 r., kiedy Hitler w Monachium wymusił przyłączenie terenów sudeckich do Niemiec, Hosenfeld notował: „Teraz pojawiają się wątpliwości, jakie zagrożenie niesie ze sobą dyktatura. Co się stanie, kiedy Hitler będzie uparty i pogrąży naród niemiecki w wojnie?”.

W 1939 r. jako żołnierz rezerwy został skierowany do Polski, gdzie przebywał przede wszystkim w Warszawie. Przeszedł różne szczeble w wojsku, aż w 1942 r. został mianowany kapitanem rezerwy. Przeżył też Powstanie Warszawskie; podczas niego poznał Władysława Szpilmana, którego uratował, co pokazuje Roman Polański w nagrodzonym Oscarami filmie *Pianista*.

Hosenfeld prowadził dzienniczek i pisał listy do swojej żony Annemarie. Wszystkie listy zachowały się w rodzinnym domu koło Fuldy. Zostały odkryte dopiero kilka lat temu przez jednego z synów, dr. Helmuta Hosenfelda, lekarza, który zaczął interesować się losem ojca. Wilm po zajęciu Polski przez Armię Radziecką dostał się jako jeńiec do Związku Radzieckiego, gdzie w nieludzkich warunkach zmarł w 1952 r.

7 lipca br. w Ministerstwie Obrony w Berlinie odbyła się uroczysta promocja książki – pamiętnika Wilma Hosenfelda. Liczy ona około 1200 stron i jest prawdziwą kopalnią wiedzy o trudnych czasach, w których przyszło mu żyć. Nosi wymowny tytuł *Staram się każdego uratować*. I tak też postępował jej autor, który bardzo przeżywał wszystko to, czego był świadkiem. Teksty Hosenfelda są ewenementem. Pokazują wiele wątków: bezwzględność maszynarii nazistowskiej, cierpienia ludności polskiej i żydowskiej, stosunkowo dobre życie Niemców i ich rodzin w Warszawie.

We wrześniu 1939 r. Hosenfeld pisze do żony: „Teraz wiem, ile wart jest kawałek chleba oraz ile dobra w duszy człowieka sprawić może łagodne spojrzenie. Tysiącokrotnie tego doświadczyłem. Myślę, że ludzie widzą, że cierpię razem z nimi. Jak mnie tylko zobaczą, podchodzą do mnie i przedstawiają swoje prośby. Nigdy na nikogo nie krzyczę, staram się pomóc, gdzie tylko mogę”.

Zwrot „nigdy nie krzyczę” nie znaczy dla Niemca tyle, co dla Polaka. Jeszcze wiele lat po wojnie Polacy wpadali w panikę, kiedy słyszeli Niemca krzyczącego: „raus, raus, schnell, schnell”.



Fot. ze zbiorów H. Hosenfelda

Wilhelm Hosenfeld w Warszawie  
w 1942 r.

Niemcy byli znani z tego, że straszili wraskiem. A tu pojawia się nagle Niemiec w mundurze, który jest opanowany i nie krzyczy. Takiego Hosenfelda pokazuje też Polański.

23 lipca 1942 r. Hosenfeld pisał: „nie mogę uwierzyć, że niesprawiedliwość zwycięży, niemieckie metody ujarzmiania innych krajów bowiem prędzej czy później muszą doprowadzić do sprzeciwu... Aresztowania, uprowadzenia, rozstrzeliwania są na porządku dziennym. Życie pojedynczego człowieka, a co dopiero wolność osobista, zupełnie się nie liczy”. Pod tą samą datą czytamy dalej: „Różni wiarygodni ludzie opowiadają, że opróżniono getto w Lublinie, Żydzi zostali wypędzeni i masowo wymordowani. Z Łodzi i Kutna dochodzą relacje, że Żydów – mężczyzn, kobiety i dzieci – zagazowano w jeżdżących pojazdach, trupy się rozbiera i rzuca do masowych grobów, a odzież oddaje do fabryk tekstylnych do wykorzystania. Odgrywają się tam podobno straszne sceny [...] trzeba sobie zadać pytanie, jak mogło dojść do tego, że w naszym narodzie mamy tak straszną szumowinę. Czy z więzień

i domów wariatów wypuszczono przestępców i umysłowo chorych, którzy funkcjonują jak krwiożercze psy? Niestety nie, są to ludzie, którzy zajmują poważne stanowiska w naszym państwie...”. Mocne słowa, za które goziła śmierć.

Zbliży się czas Powstania Warszawskiego. Wilm Hosenfeld 24 lipca pisze do domu: „Nie macie pojęcia, co się dzieje w Warszawie. Wczoraj zaczęto ewakuować miasto, najpierw kobiety z dziećmi, oczywiście wyłącznie niemiecką ludność cywilną”. A kilka dni później: „Kiedy powstanie wybuchło, wiedziałem, że nasza sytuacja jest poważna... przebieg ostatniego tygodnia to potwierdził. Nawet czołgi i ciężkie bombardowania nie robią większego wrażenia na powstańcach. Całe ulice są podpalane, ludność cywilna ucieka dokądkolwiek. Powstańcy okupują ruiny i strzelają dalej. Wszystko, co się porusza po ulicy, jest rozstrzeliwane. To już chyba koniec wojny dla Warszawy”.

Podczas powstania Hosenfeld musiał przeprowadzać przesłuchania, co mu się wcale nie podobało. Pisze: „Codziennie przesłuchania. Dzisiaj jeden funkcjonariusz i szesnastoletnia dziewczyna. Nie udało się z nich niczego wydobyć. Może uda mi się dziewczynę uratować... Drugi to funkcjonariusz policji. Ma 56 lat. Ci ludzie robią to wszystko z czystego patriotyzmu, a my im nie możemy pomóc. Staram się uratować każdego, jak się tylko da. Będę próbował pomóc również policjantowi. Nie jestem człowiekiem, który by się nadawał do przeprowadzania tego rodzaju przesłuchań...”

Jakim sposobem udało się Hosenfeldowi tak otwarcie, bez kamuflażu, pisać do swoich bliskich, jak to się stało, że gestapo lub ktoś inny nie wpadł na jego trop, nie zdradził? Przecież poczta szła normalną drogą. Więcej, ile zaufania musiało być między małżonkami Hosenfeldów? Takie bezgraniczne zaufanie może chyba tylko istnieć w prawdziwym mał-

żeństwie, w tym wypadku zbudowanym na fundamencie wiary katolickiej. To uczyniło Hosenfelda nieustraszonym. Przecież działał jawnie. W każdej chwili można go była złapać na gorącym uczynku. Jego przykład pokazuje, że mimo zagrożenia można było udzielić pomocy, nawet Żydowi. Nie wiemy, ilu było takich Hosenfeldów. Na pewno nie tysiące. Helmut Hosenfeld powiada, że było ich za mało, ale nie uważa, że jego ojciec był jedyny, wyjątkowy. Wilm Hosenfeld zapisał 25 stycznia 1943 r., że rozmawiał z kolegą, który uważa, że mają walczyć do końca, by z powodu tych zbrodni przepaść i nienawiść jeszcze bardziej się wzmaczała. Miał widać kogoś zaufanego.

W katolicyzmie tamtego okresu nie było jeszcze mowy o partnerstwie z Żydami, którzy uchodzili za morderców Jezusa. Nie było jeszcze mowy o Soborze, teologia jeszcze nie dorosła do dialogu. Hosenfeld, wprawdzie nosząc mundur Wehrmachtu, ale jako przekonany katolik działał w przeświadczeniu, że nakazem Ewangelii jest miłować każdego człowieka, Polaka, Żyda, Niemca i każdego innego. Jest to postawa na ówczesne czasy i okoliczności, w jakich przyszło mu żyć i pracować, wyjątkowa.

Nie wiadomo, ile osób Wilm Hosenfeld uratował. On sam, nawet gdyby żył, mógłby tego nie wiedzieć. Jego życie skończyło się w sowieckim łagrze. Niestety, nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Szpilman, który w 1952 r. był już znanym artystą w Warszawie, nic nie wiedział o losie Hosenfelda. O wszystkim dowiedział się później.

Wilm Hosenfeld, jako humanista o wysokich walorach etycznych, dla współczesnych może być symbolem, tak jak to bywa u kanonizowanych świętych. Nie każdy wzorowy katolik zostaje ogłoszony świętym, ale taka postać, która jest oficjalnie święta, staje się symbolem. Stoi na panteonie za wszystkich innych, którzy na to samo zasłużyli. Hosenfeld może być bohaterem zarówno dla Polaków, Żydów, jak i dla Niemców. Jest czas, żeby przypomnieć sobie takie postacie. Hosenfeld jest wzorem, drogowskazem, w którym kierunku powinniśmy iść, między innymi także w dziedzinie wychowania młodego pokolenia. Był człowiekiem sprawiedliwym.

**Winfried Lipscher**

